

Victoria Kaweiku Lunalino Kalaninuiiahilapalapa Kaiulani Cleghorn.

Twórcze pisanie i ekranizowanie

Hubert Klimko-Dobrzaniecki

ORCID: 0000-0001-5123-7305

W miasteczku, w którym się urodziłem, mieliśmy dwa kina. Pierwsze nazywało się „Ludowe” i było wielkie. Wielkie, w rozumieniu ludzi z małego miasta. Na prowincji miary odległości, powierzchni, objętości mają lokalne przełożenia. Kiedy tubylcy mówią, że kościół jest daleko, oznacza to sporą wyprawę, a dla mieszkańca większego miasta, zaledwie kilkunastominutowy spacer. Kino „Ludowe” było wielkie, bo miało aż sto miejsc. Z „choroby powiększenia” można sobie zdać sprawę dopiero wtedy, gdy opuści się prowincję. Dawne miary, już podczas pierwszego dnia pobytu skracają się, zmniejszają w dramatyczny sposób. Tak więc „Ludowe” było wielkie na naszą miarę. Miało wielkie drzwi wejściowe, wielki szyld nad drzwiami, wielką kasę biletową. Na wielkim ekranie wyświetlano wielkie filmy. Te największe były zagraniczne. Choć zdarzały się wcale nie mniejsze od zagranicznych krajowe. W moim przypadku miłość do kina rozwinęła się wcześniej niż miłość do literatury. Miałem cztery lata i mama pierwszy raz w życiu zabrała mnie na seans. Na tak zwany niedzielny poranek kinowy. Po projekcji nastąpiły problemy z wyprowadzeniem mnie z kina. Tak bardzo mi się spodobało, tak się wciągnąłem, że nie było mowy o opuszczeniu budynku. Stary, obity fioletowym aksamitem fotel trzymał się dzielnie. Dopiero któraś z rzędu próba wyrwania z fotela upartego dziecka zakończyła się sukcesem. Powiedzieć, że kino swoją magią uwiodło małego chłopca, to jakby nic nie powiedzieć.

Przygodę z literaturą rozpocząłem rok po kinie. I choć nie pamiętałem tytułów pierwszych bajek, które obejrzałem na wielkim ekranie, zapamiętam tytuł książki, prezentu, na piąte urodziny – *Dar rzeki Fly*. Imię i nazwisko autorki przyswoiłem później. Była nią Maria Krüger. Trudno uwierzyć, ale już wtedy w mojej małej głowie pojawił się pomysł na film na podstawie tej książki. W wieku siedmiu lat napisałem pierwszy scenariusz. Nie wzbudził zainteresowania ani szkoły, ani rodziny. Rzuciłem więc pisanie dla filmu. Nie tylko dla filmu zresztą.

Nie wiem, kiedy zamknięto „Ludowe”, nie było mnie już pewnie w mieście. Pamiętam, kiedy zamknięto to drugie kino – „Słowianina”. Było mniejsze i stało w podwórku, w górnej części miasta. Nie tylko poniemieckiej części, ale i poewangelickiej. To dosyć istotne w tej opowieści. By wejść do kina, trzeba było przecisnąć się wąską uliczką pomiędzy kamienicami. Przed kinem na kamiennym krzyżu wisiał poniemiecki Jezus. Lokalne dewotki opowiadały, że kino zamknięto dzięki wstawiennictwu Jezusa. Ponoć w ten sposób uchronił część ludności miasta przed filmowymi bezceństwami. Postępowi katolicy, a wśród nich i kinomani, pukali się w czoło, mówiąc, że żaden poniemiecki Jezus, do tego poewangelicki, nigdy nie zamartwiałyby się stanem moralnym polskich zaborców. Decyzja o zamknięciu nie leżała w gestii Jezusa. Władze miasta doszły do wniosku, że jedno kino w zupełności wystarczy. W odległym zaledwie o pięć kilometrów Dzierżoniowie Śląskim były trzy kina, do których mogliśmy bez trudu dojechać autobusami podmiejskimi. No tak, tylko, że pięć kilometrów...

Kiedy prowincja staje się końcem świata? Według jednych wtedy, kiedy odbierają miasteczku prawa miejskie. Według innych, gdy zamykają kolej. Niektórzy zaś twierdzą, że wtedy, kiedy likwidują kino. Moje miasto stało się podwójnym końcem świata. Zamknięto i kolej, i kino. W ubiegłym roku, po prawie 45 wiosnach przerwy, przywrócono miejscowości połączenie kolejowe. Kina dalej nie ma. Wyobrażam sobie, że miejsce po kinie „Słowianin” przypomina kadr z filmu *Cinema Paradiso*. A *Paradiso* jest i było rodzajem obsesji, który noszę w sobie, pielęgnuję i nie chcę się wyzwolić. Obraz włoskiego reżysera wożę jak świętą ikonę. Gdziekolwiek jestem, znajduję dla ikony honorowe miejsce. Była ze mną w Polsce, na Islandii i przyjechała do Wiednia. Pewnie z Wiednia zabiorę ją kiedyś w inne miejsce. Wiem, że wielu identyfikuje się z historią Salvatore. Ale czyż nie na tym polega fenomen, magia kina? Być może literatura bardziej rozwija wyobraźnię. Być może ubogaca w taki sposób, w jaki kino nie jest w stanie. Być może to wszystko prawda. I to, że kino bez tekstu nie radzi sobie dobrze. Świetny scenariusz to prawie połowa sukcesu. Ale... Ja też jako nastolatek byłem bardzo zakochany. Ja też wystawałem w deszczu, czekając aż zgaśnie światło w sypialni ukochanej. I jak bohater filmu byłem synem samotnej Matki. W domu również się nie przelewało. Też pochodziłem z małego miasteczka i przy każdej nadarzającej się okazji biegłem do kina. Zostałem spoliczkowany przez Mamę. Tak jak filmowy Toto wydałem pieniądze nie na zakupy, a na bilety do kina. W metalowym pudełku po ciastkach ukrywałem wycięte z gazet zdjęcia znanych aktorek. Liczyłem, że nikt nigdy nie odkryje mojej tajemnicy. I choć udało mi się uniknąć służby wojskowej, Salvatorewi nie, przez wiele lat, podobnie jak on, nie potrafiłem zrzucić z siebie jarzma odrzuconej pierwszej miłości. Czy miłosny zawód można przekuć w sztukę? W literaturę? Film? Łatwo się poślizgnąć, wejść w rejony zbyt płaskie. Myślę, że włoskiemu reżyserowi się udało, choć niektórzy zarzucali mu zbyt dużą kliwłość. Sprawa gustu. Nieodwzajemniona miłość nie podpada jednak pod kategorię gustu lub jego braku. Ona jest faktem. Boli. Latami nie daje spokoju. Bywa, że zabiera się ją do grobu. Nie ma też pewności, że przestaje prześladować w zaświatach.

Nasze pierwsze mieszkanie w Wiedniu znajdowało się przy Prinz-Eugen-Straße. To, że okna sypialni wychodziły na Belweder, rezydencję legendarnego księcia Eugeniusza, nie było aż tak inspirujące jak fakt sąsiedztwa z budynkiem, w którym mieściło się i nadal się mieści wydawnictwo. To w nim swoje dzieła ogłaszał sam Freud! Wydawnictwo? Freud? Dręcząca mnie od lat szajba? Oficyna Freuda nie skorzystała z mojej oferty. Z austriackiego, uporządkowanego punktu widzenia spontaniczność jest rzeczą szkodliwą i kosztowną. Tłumacz literatury polskiej to poważny wydatek, zaś polski pisarz niebędący protegowanym... Z parodii psychoanalizy oraz literatury autobiograficznej skorzystało wydawnictwo Znak z Krakowa. Pisarskie ego nie ucierpiało. Wszak i Kraków cesarsko-królewskim miastem był. Zbiór opowiadań pod tytułem *Rzeczy pierwsze* został wydany w roku 2009. Z mojej inspiracji reklamowany był jako powieść autobiograficzna, w której opisywałem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Prawda nie jest kategorią literacką, ale eksperyment się udał. Poczuliśmy dużą satysfakcję wynikającą z siły opowieści. Niekiedy efekty były zaskakujące. Bywało, że spore grupy czytelników wierzyły w prawdziwość całości opisanych zdarzeń. A przecież ktoś kiedyś powiedział, że literaturoznawstwo i psychologia dawno odkryły, że nikt nie potrafi powiedzieć w autobiografii prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Bo każdy stara się wyglądać na trochę lepszego lub trochę gorszego, według gustu. Niby chodzi tylko o to, żeby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o rzeczach zasadniczych. Rzeczą zasadniczą była przecież moja obsesja dotycząca niespełnionej miłości. Znalazłem się w idealnym miejscu. Wiedeń. Freud. Psychoanaliza. Wydawnictwo. Ja się wreszcie musiałem wyleczyć! Do tego, a w tym miejscu nie koloryzuję, nad nami mieszkał psychoanalityk, który prowadził prywatną praktykę. Człowiek zupełnie odklejony od rzeczywistości i może dlatego nie narzekał na brak pacjentów? Zaserwowałem sobie kilka sesji psychoanalizy pokrytych z zaliczki od wydawnictwa Znak. A potem była już literatura. W opowiadaniu pod tytułem *Hawajski różaniec* mój psychoanalityk doktor Gruber podczas powtarzających się sesji próbuje nauczyć mnie koncentracji poprzez odwracanie uwagi. Krótko mówiąc, Gruber wykonuje „jaskółę”, wychylając połowę ciała poza okno. Na nerwicę natręctw, polegającą na masakrowaniu mojego mózgu powtarzającym się imieniem niespełnionej miłości, proponuje mantrę. Kiedy tylko w mojej głowie pojawia się dręczące imię, mam brać do rąk różaniec i zamiast „Zdrowaś Maryjo” wymawiać imiona ostatniej następczyni tronu Królestwa Hawajów (Tak, było takie państwo. Tak, istniała księżniczka o takim imieniu) – Victoria Kaweiku Lunalino Kalaninuihailapalapa Kaiulani Cleghorn! Na ostatniej sesji mantruję egzotyczne imiona bez pomyłki, jednym ciągiem. Miłość z przeszłości odchodzi w niepamięć, ale dowiaduję się od doktora Grubera, że to nie miłość niespełniona jest moim głównym problemem. Mój największy problem to relacja z Matką. Nigdy należycie jej nie zakończyłem. Lekarz daje nadzieję na całkowite wyleczenie. Nie dowiaduję się jednak, jak to zrobić, bo Gruber podczas robienia „jaskóły” wypada przez okno. Umiera na miejscu. Bohater książki pozostaje z nowym problemem. I tak zresztą kończy się zbiór opowiadań, ale nie dalsza historia, bo postanowiłem zamienić litery w obrazy. Proces trwał dziewięć lat. Ktoś by powiedział, że długo. Inny, że krótko. Ja mówię, że wszystko ma swój czas. Marzenia trzeba mieć, gdyż nic nie kosztują, a czasami się spełniają. Przewaga książek nad filmami bywa taka, że do napisania zbioru opowiadań nie potrzeba sztabu ludzi. Koszty przedsięwzięcia, oprócz tych niematerialnych, są bardzo niskie. A i można nakręcić prawie tę samą historię, nie obawiając się pominięć, co ma miejsce podczas wznowień. Nawet ich wydań ekstra. Poprawionych, rozszerzonych, z innymi niż w oryginałach zakończeniach. Magia obrazów robi swoje. Muzyka. Żywe dialogi. W Indiach podczas niektórych projekcji serwuje się widzom wrażenia węchowe. Co kraj, to obyczaj...

Dawny Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach mieścił się w czymś, co przypominało raczej zespół nadszarpniętych czasem baraków niż siedzibę szkoły filmowej. Czas wysłużonych baraków dobiegał końca. Wydział przenosił się do centrum, do nowego, luksusowego budynku. Pomyślałem, że przyszedł właściwy moment, by spróbować sił w filmie. Nadeszła chwila zmaterializowania marzeń. Miałem za sobą dwa krótkie metraże. Jeden z nich zakupiła telewizja i wyemitowała kilkakrotnie. Ten, jak go krytyka nazwała, eksperymentalny dokument kreacyjny opowiadał historię Zenona, legendarnego lidera punkowej grupy „Jebana Ściera”. Poczulem, że dorosłem do krótkiej fabuły. A jeśli krótkiej, to na podstawie opowiadania. Jeśli zaś opowiadania, to tego, z którym związana była ważna dla mnie historia. Zapragnąłem opowiedzieć o hawajskim różańcu inaczej, choć nie rezygnując z ważnych punktów. Napisałem scenariusz 20-minutowej fabuły i wyreżyserowałem historię dozorca pracującego na starym Wydziale Radia i Telewizji. Akcja rozgrywa się na kilka miesięcy przed zamknięciem dotychczasowej siedziby. Główny bohater nie jest zwykłym cieciem. W wolnych chwilach komponuje muzykę i teksty do swoich piosenek, uczy się francuskiego i ma marzenia. Lekko jednak nie jest. Od lat cierpi na nerwicę natręctw. Imię byłej żony nie daje mu spokoju. Artur, człowiek blisko pięćdziesiątki jest stałym klientem pięknej prostytutki. I nawet obcując z nią, nerwica nie daje mu spokoju. Nie potrafi powstrzymać się przed wykrzykiwaniem imienia byłej żony. Za którymś razem prostytutka nie wytrzymała. Dalej akcja toczy się jak w opowiadaniu. Zwariowany psychiatra, robienie „jaskóły”, różaniec, mantrowanie imion hawajskiej księżniczki, sprawa relacji z Matką, wypadnięcie lekarza przez okno. Na tym nie koniec. Główny bohater uświadamia sobie, że kocha prostytutkę. Z wzajemnością zresztą. W ostatniej scenie, już po stosunku i po tym, jak pierwszy raz nie wykrzyczał imienia byłej żony, wydaje się człowiekiem wyleczonym i prawie szczęśliwym. W tej samej scenie Artur proponuje kobiecie wspólny wyjazd na Korsykę. Osiedlenie się na wyspie. Nie pada żadna odpowiedź. Jednak widz wie, że oboje tego chcą. Film pod tytułem *Hawajski różaniec* przeszedł selekcje konkursowe i był pokazywany na kilku festiwalach krajowych i zagranicznych. Oglądałem go na wielkich ekranach wielkich kin wielkich miast. Po projekcjach wracałem myślami do mojego miasteczka i kina „Ludowego”. Wielkiego, w naszym małomiasteczkowym rozumieniu. Chyba takim w moim sercu ciągle pozostanie. Wielka magia na stu widzów.

SŁOWA KLUCZOWE:

ekranizacja

HAWAJSKI RÓŻANIEC

ABSTRAKT:

Autor tekstu naświetla okoliczności oraz mechanizmy wzajemnego przenikania się osobistych doświadczeń, fascynacji literaturą i filmem, które po latach doprowadzą do wydania zbioru opowiadań. Stanie się on inspiracją do napisania scenariusza fabularnego filmu krótkometrażowego. Z czasem scenariusz zostanie sfilmowany przez tego samego twórcę. Tekst próbuje wyjaśnić również, w jaki sposób twórcze pisanie może doprowadzić do twórczego ekranizowania.

twórcze pisanie

Cinema Paradiso

NOTA O AUTORZE:

Hubert Klimko-Dobrzaniecki (ur. 1967) – absolwent Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W dalekiej przeszłości studiował również filozofię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i na Uniwersytecie Wrocławskim i filologię islandzką na Uniwersytecie Islandzkim w Reykjavíku. Autor powieści, nowel, zbiorów opowiadań, książek dla dzieci oraz filmów krótkometrażowych. Napisał m.in. *Dom Róży/Krysvík*, *Kołysankę dla wisielca*, *Samotność*, *Zostawić Islandię*, *Dzender domowy i inne historie*, *Złodziei bzu*. Nominowany do nagród: Nike, Paszporty Polityki, Cogito, Angelus, Śląski Wawrzyn Literacki, a także do Europejskiej Nagrody Literackiej, Nagrody im. Reymonta. Finalista nagrody Paszporty Polityki. Jego książki ukazały się w przekładzie na 12 języków. Dwukrotny stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatury oraz departamentów kultury Republiki Francji i Grecji. Stały felietonista miesięcznika „Odra”. W latach 1997–2007 mieszkał na Islandii, której to również jest obywatelem. Sporadycznie tłumaczy dramaty i poezję z islandzkiego. Od roku 2007 mieszka w Wiedniu i wsi Krasne. |